

Kiedy człowiek czyni konsumpcję bożkiem, zdradza życie i zdradza samego siebie.

Erich Fromm

Dlaczego nie skłonić naszych najlepszych umysłów, naukowców, artystów, nauczycieli, by świadczyli jak wzbudzać i rozwijać miłość życia, w przeciwieństwie do miłości gadżetów? Wiem, miłość gadżetów przynosi zyski korporacjom - miłość życia wymaga mniejszej ilości rzeczy - stąd jest mniej zyskowna.

Erich Fromm

Nie czerpiemy już radości z naszego duchowego wnętrza, ale z rzeczy zewnętrznych i obcych.

Thomas Merton

Fałszywe radości i rozrywki czynią jeszcze bardziej gorzkim brak prawdziwych.

Pierre A. Beaumarchais

Technicznie żyjemy w epoce atomowej, uczuciowo ciągle w epoce kamiennej.

Erich Fromm

Uwaga wstępna. *Hedonizm* pogląd (zapoczątkowany przez Arystypa z Cyreny, III w. p.n.e.), iż przyjemność jest jedynym dobrem i wartością; dobre jest więc to wszystko, co daje przyjemność. *Nihilizm* postawa mająca za nic tradycyjne wartości i prawa moralne. Używam terminów *hedonizm* i *nihilizm*, mając na myśli ich współczesne, wulgarne (vulgo, vulgus *łac.*, powszechnie, pospolicie; pospółstwo, tłum) formy i takąż treść.

Termin *nihilizm* został wymyślony przez rosyjskiego pisarza Turgieniewa i użyty po raz pierwszy w jego powieści *Ojcowie i synowie* „,„ (1861). *Teraz są nihilisci* - pisał Turgieniew - *Zobaczmy jak będziecie mogli egzystować w nicości, próżni (...). Czy jest nihilizm, kiedy się rodzi i dzięki czemu się umacnia? Powiedzmy za Nietzschem: Kiedy najwyższe wartości tracą wartość „,„. Ale nie tylko najwyższe wartości - w postmodernistycznej epoce nie istnieje, więc i nie odgrywa żadnej roli także kanon kulturowy. Nihilizm oznacza zanik wiary w istnienie niematerialnych wartości, w jakkolwiek perspektywę duchową. Nihilisci wierzą bowiem tylko w to, co "mieści się" im w głowie, w to, co mogą zobaczyć, usłyszeć, czyli w namacalną rzeczywistość. Znakiem upadku kultury, naturalnie tej godnej tego miana, jest nie tylko brak jasno zarysowanych hierarchii wartości (również takich, które sprzyjałyby redukcji przemocy), ale także ziejąca zeszłą pustką i nuda, której ludzie starają się zaradzić wypełniając ją *byle czym*... I oto jak się wówczas żyje: najpierw słabnie religia i duchowość, potem prawo (nie tylko w sensie jego łamania, ale także jego pobłażliwości) i kultura, następnie upadają obyczaje, a potem zapanowuje mrok: przemoc i chaos. Wiek XX nie szczędził nam tego typu doświadczeń. Niektórzy myśliciele współcześni zastanawiają się nad tym, do czego właściwie doprowadziła wiara w tzw. wyzwolenie człowieka, wiara, którą po Oświeceniu odziedziczyła tzw. nowoczesność. Ta wiara, to przekonanie o możliwości społeczno-kulturalnej emancypacji człowieka, o budowie dobrobytu, jak również o uniwersalnej prawdzie, wspomagającej racjonalne zarządzanie społeczeństwem. Jako skrajne przykłady takiego zarządzania podaje się często faszyzm i komunizm, które niewątpliwie dokonały olbrzymich spustoszeń w ludzkim świecie. Lecz upierałbym się, iż nie są to dowody na kompromitację samego rozumu, a jedynie groźnych w skutkach iluzji, które zdarza mu się powoływać do życia, gdy uda się go komuś zaprząć do jakiegoś "interesu". **Dziś spustoszenie czyni "wolna", często ponadnarodowa gospodarka, nastawiona na masowe zadawanie niewybrednych tłumów współczesnych hedonistów-nihilistów, a przede wszystkim na drenowanie naszych kieszeni, wsparta na antyetosie kapitalizmu, czyli zasadach quasimafijnych, na niewyobrażalnej zachłanności i bezwzględności w zmierzaniu do zysku za każdą cenę (której naturalnie sama nie będzie musiała płacić!).** Przypatrzmy się*

KULTURA MASOWA: NISZCZ WSZYSTKO I POZWÓL NISZCZYĆ INNYM!

CZTERY KONIE APOKALIPSY:

**NIHILIZM, HEDONIZM, MEDIALIZM, ROZRYWKA
(PLUS LECZENIE OBJAWOWE)**

gigantomanii spekulacyjnych kapitałów niszczących mały, rodzinny handel i produkcję, spółkom telewizyjnym, siejącym bezkarnie "głupawkę" i przemoc bez oglądania się na straty społeczne, produkującym kolejne zastępy "rozrechanego" motłochu, producentom parafarmaceutyków, korzystającym z usypiającej krytycyzmu mocy mediów; przypatrzmy się mediom starającym się już tylko o zbyt czyjejs nadprodukcji, zupełnie niezainteresowanych wysokim ustawieniem poprzeczki kanonu kulturowego, paradygmatów artystycznych, porządku intelektualnego. Całe to towarzystwo jako żywo zdaje się wyznawać nihilistyczno-hedonistyczne zasady mówiące, że "raz się żyje" i "po nas to choćby potop".

Co stało się z tradycyjną etyką? Cóż, zastąpiła ją etyka rodem z... gry w trzy karty!

Może więc ucieczką przed skomercjalizowanym światem byłaby prawdziwa sztuka? Zapewne, lecz gdzie jej szukać? Jej miejsce zajęła w mediach lansowana z uporem maniaka parasztuka (*ersatz* prawdziwej kultury), nie niosąca żadnych istotnych i trwałych wartości. Jednym z jej głównych "zadań" jest szokować, postponować fundamentalne wartości, lecz przede wszystkim ma ona bawić, dekorować, być jedynie opakowaniem medialno-rozrywkowego bełkotu i zgiełku; ma ona darować sobie ewentualne nowe propozycje estetyczne i jakkolwiek krytycyzmem czy wizją światopoglądowe. Od organizowania opinii publicznej, od organizowania "prawdziwych" potrzeb człowieka, jego gustów i preferencji są bowiem specjaliści, zawodowi twórcy złudzeń i tyleż radosnych, co kłamliwych sloganów, fachowcy od dyktowania publicznych gustów lub/i od ich deformacji: media, reklama, marketing, public relations. Ów medialny sektor, niekontrolowany przez społeczeństwo, umocnił w ostatnich dziesięcioleciach swój niezależny i nieodpowiedzialny byt, stając się tzw. "czwartą władzą". Czy wybierałeś kiedykolwiek, czytelniku, ową "władzę", która od rana do wieczora częściej cię najprawdziwszym relatywizmem moralnym i kulturowym? **Czy to koniec świata? Nie, ale na pewno poważny kryzys idei humanizmu, kryzys kultury w wymiarze globalnym. Kto nie ma wysublimowanych potrzeb z gatunku wysokokulturowych, kto nie zauważa postępującej dezintegracji ludzkiego życia, powszechnej apatii i rosnącej frustracji jednostek (anarchia, przemoc, terroryzm), komu obcy jest świat głębszej refleksji, kto uważa, że dzisiejsza bezsilność rozumu jest naturalna, czy w pełni zasłużona, ten nie odczuwa kryzysu boleśnie i zapewne nawet nic o nim nie wie...**

Nie istnieje nic, na czym człowiek mógłby się oprzeć - powiadają nihilści. Nic? No, może z pewnymi wyjątkami umożliwiający prze**TRWANIE** wyrażonym duchowo, jednowymiarowym ludziom w spustoszonej przez nich, jednowymiarowym świecie; tymi wyjątkami są **materialne dobra, pieniądze, gadgety, rozrywka. Tylko te przemijające "wartości" (plus alkohol, narkotyki, środki uspokajające lub "speedujące") są w stanie zagłuszyć na moment u ludzi żyjących w dobie kultury masowej wszechobecną pustkę i dojmujące poczucie braku sensu własnego istnienia, dać radość wynikającą z chwilowego "zapomnienia. Skoro nie czerpiemy już radości z naszego duchowego wnętrza, ale z rzeczy zewnętrznych i obcych (Merton), toteż nie istnieją granice dla ludzkiej aktywności, pod warunkiem, że dotyczą owych "naczelnich" wartości dnia dzisiejszego. Reszta jest "milczeniem".** Ciekawe, że ci, którzy tak ochoczo głoszą relatywistyczny brak oparcia w świecie, równie ochoczo pragną nad światem panować! Lecz, cóż to za radość być oklaskiwanym przez stado baranów?

Nie tylko światło sacrum zostało wypchnięte z tego świata (Nietzscheańskie "Bóg umarł!"), również światło mądrości spychane jest nieprzerwanie na margines. Pędzimy z olbrzymią (określaną przez gwałtowny postęp technologii) szybkością, tyle że już bez "tradycyjnych" światła, bez mapy tradycyjnego porządku symbolicznego, ten bowiem także został odstawiony na boczny tor. Jego miejsce zajęła nowa ikonografia symboliczna: billboard przedstawiający talerz z kielbasą za "tylko" ileś tam złotych. W ten oto sposób kultura masowa tresuje cię, czytelniku, abys znał świat cen, a nie znał świata wartości!

Być może rację ma Alvin Toffler, mówiąc, iż **popelnia błąd ten z nas, kto zdążając ku przyszłości, patrzy wyłącznie we wsteczne lusterko.** Przypominając tę myśl, nie zamierzam naturalnie deprecjonować wartości pamięci, szczególnie w epoce, która zabiega o powszechną amnezję; innymi słowy, nie chodzi o to, aby przyszłość była wyznaczana przez przeszłość, ale przede wszystkim o skalę porównawczą, umożliwiający sensowny osąd tego, z czym się na co dzień stykamy. Wydaje się więc, iż znacznie większy **błąd popelnia ten, kto pędzi z ogromną szybkością, ale po ciemku,** nie widząc niczego nie tylko za sobą, ale i przed sobą; przede wszystkim realnej, nawet nie tej wyobrażonej przyszłości - ideału.

Powiązania gospodarcze, polityka światowa i społeczeństwa sterowane są przez anonimowe, "dyskretne" procesy, nad którymi trudno objąć jakąkolwiek kontrolę. **Bez-osobowa technologia zastąpiła sens; wydaje się być ona sensem świata... pozbawionego sensu.** Ów nagminny brak tradycyjnego, humanistycznego światła powoduje, iż lęgną się zastępy stechnicyzowanych i wyobcowanych społecznie troglodytów, zajętych jedynie "dryfowaniem" i pobudzaniem co rusz swych zmysłów (nie daj Boże szarych komórki), a jeśli już pracujących, to jedynie z myślą o zabawie, a nawet dla samej zabawy. Technologia najwyraźniej robi to, co postulował Karol Marks (zauważając, że *filozofia do tej pory tylko interpretowała świat, a przecież chodzi o to, aby go zmienić*): nie zajmuje się interpretowaniem świata, a jego permanentnym przekształcaniem, tym razem w taki sposób, aby stał się on wyłącznie źródłem rozrywki, wrażeń zmysłowych i materialnej obfitości. Taki zaś "dobrobyt", szczególnie gdy nie służy godnemu i rozumnemu życiu, a staje się celem samym w sobie, z dobrodziejstwa szybko zmienia się w swe przeciwieństwo - truczną depersonalizację człowieka, pogrążającego się, niczym w bagnie, w skomercjonalizowanym i zakłamanym, sztucznym i nieprzyjnym środowisku.

Dzisiejszy hedonista podszyty nihilizmem powiada: nie widzę żadnego powodu, aby uważać jeden cel za gorszy

(albo za lepszy) od drugiego. Cnota, wartości moralne? To sprawa osobista, a w ogóle to rzeczy przebrzmiałe, niemodne, tak jak i zastanawianie się nad dobrem i złem; wolno więc dokonywać nieskrępowanych refleksją wyborów - wybór nie jest przecież zły, skoro przynosi "kasę", a ta - przyjemność. Pojęcie *prawdy*? Nawet pieniądze na tym świecie nie zawsze bywają prawdziwe, nic na tym świecie nie jest zresztą do końca poważne, a wszystko względne czegoś więc i jakiej to prawdy mielibyśmy się trzymać? Korzystajmy z możliwości, jakie daje nam świat, cieszymy się i bawmy, *śmiejmy się, bo nie wiadomo czy świat potrwa jeszcze ze trzy tygodnie* (Beaumarchais). O losy świata niech troszczy się kto inny, najlepiej jacyś kolejni "oni"! Otóż tak się składa, że kiedy staramy się określić, zdefiniować **motłoch (czyli przeciwieństwo świadomego swych praw i obowiązków społeczeństwa obywatelskiego!)**, to nie sposób nie zauważyć zespołu cech, który jakościowo "wyróżnia" motłoch pod każdą szerokością geograficzną, tak motłoch niewykształcony, jak i ten wykształcony - jest to świadoma rezygnacja z brania na swe barki losów świata, jego porządkowania, a przede wszystkim z nadawania mu sensu; niechęć do współodpowiedzialności za jego urządzenie, niechęć nie tylko do metafizycznych czy utopijnych wizji, lecz w ogóle do wizji jako takich, niechęć do jakiegokolwiek misji i podszyta "absolutną tolerancją" bezdyskusyjna zgoda na zastany świat i na siebie samego (bez najmniejszej nawet próby "odkrycia" swej istoty, a co za tym idzie, także swej prawdziwej wartości). Co się liczy? Wyłącznie własny interes i "wymierne korzyści": dobra materialne, doznawanie przyjemności i pobożanie sobie. To jedyne dobra prawdziwe, bo namacalne. Nieokrzesany reprezentant motłochu (dzisiaj często z dyplomem wyższej uczelni w kieszeni) nie ma żadnej ojczyzny duchowej, z którą by się utożsamiał, żadnych wzniosłych i dalekosiężnych planów, szczytnych pragnień, w których przeglądałaby się historia, a już na pewno nie takich, które wykraczałyby poza niego samego, czy - ewentualnie - poza jego najbliższych; ma tylko zachcianki i chęć przetrwania (oczywiście jedynie w wymiarze biologiczno-fizjologicznym, bowiem inne wymiary dla niego nie istnieją). *Chleba i igrzysk!* tylko! To zupełnie wystarczy! I tu, naprzeciw bezkształtnym masom, wychodzi kolejny przedstawiciel hedonistycznej etyki - utilitarysta-pragmatyk ze swoją filozofią: ludziom, którzy kierują się w swoim życiu tylko dążeniem do przyjemności, a unikaniem za wszelką cenę przykrości, należy dostarczyć owych przyjemności i rozrywek; tylko w ten sposób osiągną prawdziwe szczęście i samorealizację! Trzeba tylko umocnić tak opatrnie pojętą demokrację, a w zasadzie jej karykaturę, która "równać" będzie w dół, a więc usankcjonuje oraz utwierdzi wszystko, co trywialne, płaskie i pospolite, zamaże wszelkie hierarchie wartości i sens różnic pomiędzy nimi za pomocą ich równoważenia (lansowanie równoważności wartości, wzgląd jedynie na ich przydatność rynkową - sic!). Wówczas hulaj duszo! Oto jak motłoch "ko-rzysta" z wolności. Prawdę mówiąc, ucieka od niej, bo wyznaje tylko jeden rodzaj wolności, tzw. wolności negatywnej ("wolność od"). Nie tylko od współodpowiedzialności, przede wszystkim od wszystkiego, co - o paradoksie! - humanistyczne i humanistycznie zorientowane, co wynosi człowieka "w górę", bowiem **człowiek humanistów nie realizuje się wyłącznie na poziomie swojej własnej natury.** Kultura masowa natomiast twierdzi, że wręcz przeciwnie, więc nosiciele i propagatorzy nadrzędnych wartości zostali zepchnięci z głównego traktu na margines. Teraz już tylko *równaj w dół* i do destrukcji marsz!

Erich Fromm określił współczesną kulturę mianem nekrofilnej, w dużym stopniu nieprzyjemnej życiu oraz naturalnemu otoczeniu i zastanawiał się nad możliwościami budowy humanistycznego industrializmu, czyli takiego, który nie tłamsi nieklamanej radości życia i nie czyni ludzi jednowymiarowymi, "statystycznymi" za

pomocą biurokracyzmu i podsycanego (przez media i kulturę audio-video) umasowienia.

Kto powiedział, że rozwój etyczny powinien nadążać za rozwojem technologii? Przecież każdy (?) widzi, że nie nadąża; że pozostał daleko w tyle. Ale ileż nekrofilnych emocji przynosi szybka jazda po ciemku... Niestety, większość dzisiejszych emocji jest tej właśnie proveniencji...

Kultura masowa, jako odmiana totalitaryzmu, tłumi i poddaje cenzurze wszelkie niezależne i niewygodne dla siebie poglądy (szczególnie takie, które mogłyby zahamować jej prosperowanie i dalszy zbyte *byle czego*), wręcz domaga się ona od dzisiejszego człowieka, aby porzucił te wartości, które mogłyby go wyróżnić na humanistycznej skali, i aby w ten sposób niejako zminimalizował swoją obecność w świecie. Kultura masowa to przecież w dużym stopniu udana próba niszczenia wszelkiej autonomii jednostki, narzucania społeczeństwu mentalnej regresji i infantylnizmu, sprowadzania wszystkiego, a więc i samego człowieka, do poziomu produktu konsumpcyjnego, do wartości rynkowej.

Akceptując kulturę masową, konsumując jej trujące owoce, "zyskujesz", czytelniku, możliwość rozplynięcia się w amorficznej masie jako jednostka, która zredukowawszy się do roli i statusu konsumenta, pozabawiła się jakichkolwiek rysów indywidualizmu, utraciła swą tożsamość. Oto hasła przewodnie kultury masowej: Żadnego indywidualnego projektowania siebie i swego życia (dom towarowy już to wszystko zaprojektował za ciebie i ma gotowy plan... twoich przedsięwzięć)! Precz z anarchizującą sferą prywatnych wyborów i decyzji! Niech rozkwita hedonistyczno-nihilistyczny kryzys człowieczeństwa i rozumności (bo na ogół ten, kto obsługuje ów kryzys, może solidnie zarobić, wyciągając śpiące pieniądze z kieszeni *pod byle pretekstem*)!

Teraz o leczeniu (objawowym). Wyrzałem przez okno. W tym tygodniu billboard z naprzeciwka stara się nakłonić mnie, abym się nie denerwował ("Nie denerwuj się!" czytam). Skądinąd myśl całkiem słuszna. Zauważyłem też, że nie namawia mnie on, abym "odkrył cudowny świat nerwów", co odnotowuję ze zrozumieniem. Ale nie podaje mi on ani możliwych powodów ewentualnego zdenerwowania, ani mechanizmów doń prowadzących, ani rozumnych recept na wyjście z jakiegokolwiek, powodującej dyskomfort sytuacji. Stwierdza tylko, że istnieje pewien środek farmakologiczny, który "szybko działa". Niewątpliwie za dużo wymagam, oczekując sensownej, pogłębionej informacji od straganiarskiego anonu. Ale widzę w tym znak czasu: billboard składając mi propozycję, abym się nie denerwował (np. barbarzyńską nachalnością bezsensu kultury masowej!) podsuwa mi możliwość "ogłuszenia" się owym środkiem, w efekcie czego (m.in.) nie pisałbym zapewne takich "wywrotowych", jak niniejszy, artykułów. Ma być przecież przyjemnie i rozrywkowo, bezproblemowo i bezkrytycznie. A co do wartości, to już wiemy: "bezdogmatycznie", bezhierarchicznie, bo na tym dziś polega *święty spokój*. Nie podzielam wprawdzie podstaw świętego spokoju "statystycznego konsumenta" (podobnie jak popkulturowego lekkoducha, ignoranta, reklamiarza, narkomana, lekomana czy innego dezertera z rzeczywistości), lecz to mnie w żaden sposób nie uszczęśliwia; wiem bowiem, niestety, że jest to typowy *spokój przed burzą*. Czasem niczego bardziej się nie pragnie, jak tego, aby być złym prorokiem... Nie jest to jednak możliwe, gdy bezustannie do uszu dobiega złowróżbny tupot kopyt czterech koni współczesnej Apokalipsy. ■

Eugeniusz Obarski
multiwersytet@wp.pl

List otwarty do twórców, odbiorców i decydentów kultury

CZY SZTUCE BRAKUJE EMPATII?

O sztuce mówi się, że uwrażliwia. Jednak, czy na pewno? Często okazuje się, że oglądając filmy można spotkać się z ogromną brutalnością nie mającą nic wspólnego z "artystyczną wrażliwością". Będąc na wystawie można natknąć się na "dzieła", dla stworzenia których zabito zwierzęta. Czasem można usłyszeć, że sztuka może być wystarczająco ważkim powodem, dla którego zadawanie cierpienia czy zabicie jest usprawiedliwione.

CHCIELIBYŚMY ROZPOCZĄĆ POWSZECHNĄ DYSKUSJĘ NAD PROBLEMEM GRANIC WOLNOŚCI WYPOWIEDZI TWÓRCZEJ.

Rozpoczynamy pracę nad stworzeniem raportu o moralnej kondycji sztuki polskiej, szczególnie w dziedzinie stosunku do zwierząt. Jednym z naszych postulatów jest wprowadzenie zwyczaju obecności na planie filmowym przedstawiciela organizacji ochrony zwierząt. Zwyczaj ten jest szeroko stosowany na świecie. Zwracamy się do przedstawicieli polskiego przemysłu filmowego, aby pamiętając o tragicznych przypadkach z przeszłości, wspólnie z przedstawicielami organizacji ochrony zwierząt opracowali zasady współpracy i pozwolili na opiniowanie sposobów wykorzystania zwierząt dla potrzeb produkcji filmowych.

Mając na celu dobro zwierząt byłem, jako inspektor

ds. zwierząt, obecny w czerwcu 2000 r. na planie największej polskiej produkcji *Quo Vadis*. Ekipa filmowa okazała wielkie zrozumienie i zainteresowanie. Mogłem swobodnie przyglądać się kręceniu scen z udziałem zwierząt po to, by naocznie sprawdzić czy sceny te są kręcone w sposób humanitarny. Byłem pełen uznania dla postawy producentów filmu. Również za troskę, jaką włożyli, aby zapewnić zwierzętom, między innymi lwom, należytą opiekę.

Stanowi to wielki kontrast z przykładami zachowań reżyserów w przeszłości. Nie wszyscy zwrócili uwagę na przerażający fakt, że w filmie *Popioły*, nakręconym przez A. Wajdę, jest w której ginie przepiękny koń, w bestialski sposób zrzucony w przepaść. Spadając łamie sobie nogi, wreszcie uderza głową o ogromne głazy i kona w męczarniach. Wydaje się, że to tylko filmowa, "sztucznie" zrobiona scena. Jakie jednak jest przerażenie, gdy okazuje się, iż był to żywy koń, którego życie poświęcono dla "sztuki".

Przykładów jest więcej. Filip Bajon, kręcąc *Magnata*, zadreńczył na śmierć zebra. Węgierska reżyserka Judith Elek, kręcąc w okolicach Zakopanego, na polanie Krzystówka, opodal Doliny Chochołowskiej, węgiersko-polski film *Fliśacy*, dla potrzeb jednej ze scen kazała posmarować 14 owiec palną substancją, a następnie je podpalić. Filmowano palące się żywcem zwierzęta.

Wiadomo, że technika filmowa dysponuje obecnie tysiącami tricków, przy pomocy których można stworzyć dowolną scenę, bez poświęcania niczyjego życia.

Czy dziś możliwe byłoby tego typu okrutne zachowanie? Na szczęście nie. Obecnie obowiązująca Ustawa o ochronie zwierząt w rozdz. 4 *Zwierzęta wykorzystywane do celów rozrywkowych, (...) filmowych (...)* w art. 17 pkt. 2 mówi: *Tresura zwierząt do celów widowiskowo-rozrywkowych i obronnych nie może powodować ich cierpienia.* Pkt. 4: *Zabrania się zmuszania zwierząt do wykonywania czynności, które powodują ból lub są sprzeczne z ich naturą.*

Bestialskie postępowanie w imię "sztuki" zostało w niektórych przypadkach ukarane i publicznie potępione. Znani polscy naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego (69 nazwisk - mam kopię ww. pisma) w Krakowie domagali się od władz wydania zakazu wjazdu do Polski węgierskiej reżyserki J. Elek, ze względu, jak to określono, wstrząśnięcia opinią publiczną. W piśmie przeczytać możemy: (...) *żaden szanujący się reżyser nie poniżyłby się do użycia tak prymitywnych i okrutnych metod (...).* Inne przypadki przeszły bez echa, a ich twórcy nie ponieśli żadnych konsekwencji swoich czynów. Pytamy: co czują dziś Andrzej Wajda i Filip Bajon? Jak dzisiaj odnoszą się do kwestii wykorzystywania zwierząt dla sztuki? Wreszcie, co czują Polacy, którzy oglądają sceny rzezi zwierząt, które nie są komputerowymi symulacjami?

Ustawa o ochronie zwierząt mówi: *Zabrania się propagowania lub upowszechniania drastycznych scen zabijania, zadawania cierpienia (...) ze strony człowieka, które ofiarami są zwierzęta, chyba że sceny te mają na celu napiętnowanie okrutnego zachowania wobec zwierząt.* Rozpocznijmy rozmowę na temat wartości sztuki okupionej cierpieniem czujących istot. Czy sztuka jest tego warta? ■

Do:

Ministerstwo Kultury
Rada Etyki Mediów
Stowarzyszenie Filmowców Polskich
Związek Artystów Scen Polskich
Związek Zawodowy Aktorów Polskich
Związek Polskich Artystów Plastyków
Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna w Łodzi
ASP w Gdańsku, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Warszawie i Wrocławiu

Do wiadomości: mediów i czasopism filmowych i kulturalnych.

Filip Barche
tel. 0-502 513-606
f.barche@empatia.pl
Warszawa 26.1.2004

Autor jest inspektorem ds. zwierząt, członkiem stowarzyszenia Empatia, skr. 56, 04-737 Warszawa 92,
www.empatia.pl, info@empatia.pl



SPOŁECZNE AIKIDO - WSTĘP

Anarchizm XIX-wieczny walczył z rządem, kapitałem, czy kościołem i innymi formami panowania, bo te nie dawały ludziom żyć, trzeba było walczyć na śmierć i życie! Wiedziały o tym obie strony, nie było zmiłuj! Ta walka dała owoce, elity ustąpiły masom, rzuciły trochę ochłapów - a szczególnie skore do rzucania były za komuny, to znaczy, ze strachu, że jak się nie podzielią z ludźmi tym, co ci ludzie wytworzyli, to może im się zamarzyć komuna i trzeba będzie oddać wszystko.

Dzisiaj, gdy szlag ją trafił, znów dociskają śrubę. Ale nawet teraz, przynajmniej na Zachodzie, gdzie tak wielu jest anarchistów wśród młodzieży z dobrych domów, da się żyć. Więc anarchizm społeczny (czyli próba zmiany całego systemu) zmienił się w anarchizm stylu życia, co widać już w '68 i co przesądziło o jego rozmyciu się. Nie klęsce - kulturowo przeorał system głęboko na tyle, że luz to wręcz jego główny slogan reklamowy, źródło jego siły w epoce kapitalizmu (i zysku z konsumpcji, a nie produkcji). Ale właśnie to sprawia, że trudno mówić o sukcesie '68. Kontestacja stała się wentylem bezpieczeństwa, a co gorsza, doskonałym reformatorem systemu tak, by nic nie zmieniając w istocie rzeczy (niesprawiedliwy podział dóbr i brak wpływu na poczynania rządu nie zmniejszyły się i wręcz rosły), uczynić go bardziej znośnym dla ogółu. Jednak kontestatorzy tego nie widzą, za pieniądze z korporacji i podatków bawią się w ich kontestację, powtarzając XIX-wieczne rewolucyjne slogany, bo dziś to już nic nie kosztuje a dobrze im robi na moralnego kaca i poczucie beziły wobec systemu.

Gdy nie idzie nic zmienić w realiach, zawsze można powalczyć w sferze symboli, stąd tak duże zaangażowanie ruchu w walkę o nie, np. sprawy legalizacji aborcji, gejų, marihuany itp., czy wojnę w Iraku - to na tyle abstrakcyjne dla nas, że wydaje się dość bezpieczne, a bardzo pasuje na symbol "walki z istotą systemu", jego centrum - USA, co

zresztą pasuje drugiej stronie, nie tylko z uwagi na jej fundamentalizm, ale i odwracanie uwagi od rzeczy naprawdę ważnych. Efekt (wojna fundamentalizmu - politycznej poprawności) sprawia, że wszyscy są zadowoleni a system ma się dobrze. A jak nic z walki nie wyjdzie, nikt z tego powodu głodny nie będzie (nb., może to, iż "mamusia ich kocha", sprawia, iż mało który działacz czuje się zmuszony zajmować realiami, na tyle przyciśnięty do muru, by zacząć walczyć na serio - dziś nie ma nawet takiej błazenady jak RAF czy Czerwone Brygady a imidż bojowników nie zmienia faktu, że Czarny Blok, choć w kominiarkach, szedł grzecznie na antyszczycie w Warszawie).

Siły prawdziwej nie ma więc, a ta, która mogłaby być (z przekonań, a nie interesu życiowego), jest trwoniona na działania jałowe - weźmy np. sprawy obyczajowe, o jakich wspominałem wyżej. Opinia publiczna jest w kwestiach aborcji, narkotyków czy religii w szkole podzielona na ogół pół na pół, więc jest mała szansa, by osiągnąć konsensus (wszystko jedno, w sprawie legalizacji, delegalizacji czy w jakiejś innej postaci). Można próbować wymusić na władzy tą czy inną opcję wbrew opinii publicznej. Tak próbuje grać Kościół, bo wie, iż otwartego sporu o publikę nie wygra, ale tak próbują działać i działacze niezależni (może z tego samego powodu). Nie rozumieją przy tym, że walka o delegalizację nazistów czy legalizację ślubów dla gejų to pomysł samobójczy - nie tylko nie ma szans w tej konkretnej sprawie: referendum może wykazać, że fanów takiej "wolności w granicach prawa" jest niewielu, a odwołanie do rządu nie daje gwarancji, że weźmie on naszą stronę.

Jest jeszcze gorzej, bo wchodząc w tą grę uznajemy jej reguły (że ogół czy rząd mają prawo decydować za nas, co nam wolno, a czego nie). O ileż rozsądniej byłoby powiedzieć, iż nam to nie pasuje, że chcemy, by w kwestiach nie mających jednoznacznej oceny moralnej nie mógł za nas